NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 492.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 10 grudnia 1921. Nr. 50.

Humorystyczny występ bandytów niemieckich



Nocny napad bandytów z fikcyjnym karabinem maszynowym na miejscowość Jevez pod Oldenburgiem.



Poświęcenie sztandaru 36 pułku piechoty: W imieniu najwyższych uczelni warszawskich przemawia i ofiarowuje sztandar rektor Uniwersytetu, dr. Mazurkiewicz. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Humorystyczny występ bandytów niemieckich.

(Do illustracyi tytułowej).

Jakich sztuczek chwytają się bandyci przy wykonywaniu swego rzemiosła, mieliśmy już nieraz sposobność przekonać się z opisów, jakie nam przynosi dzień niemal każdy. Śmiałość ich graniczy niemal z zuchwalstwem, posługują się najnowszymi wynalazkami technicznymi, wypróbowanymi w ciągu ostatniej wojny. I na tem polu widocznym jest postęp, nie przynoszący jednak chwały cywilizacyi i kulturze. Ta jednak sztuczka, do jakiej uciekli się amatorzy cudzej własności w Jevez pod Oldenburgiem, jest nawet w dziejach bandytyzmu nowoczesnego czemś niezwykłem świadcząc o ich pomysłowości, a zarazem stanowiąc bardzo jaskrawe stwierdzenie starego naszego przysłowia, mówiącego, „że strach ma wielkie oczy".

Bandyci w liczbie kilku osób, wybierając się na wyprawę po łupy, skonstruowali z kawałka starej rury żelaznej i kilku próżnych blaszanych puszek z konserw oraz kół ze zepsutego roweru coś, co w oczach dobrodusznego mieszkańca małej niemieckiej mieściny mogło się przedstawiać, jako karabin maszynowy. Pozatem uzbroili się w „granaty ręczne" sporządzone z niewinnych kawałków drzewa, na to nie zapomnieli o zupełnie autentycznej broni palnej dla własnej obrony i latarkach elektrycznych, mających służyć do wywołania tem większego efektu wśród ciemności nocy. Tak wyekwipowani zjawili się późnym wieczorem na rynku w Jevez, gdzie wśród głośnych okrzyków komendy wojskowej ustawili swój „karabin maszynowy", oświetlając go światłem lampek elektrycznych, by tem większe wywołał wrażenie.

Mieszkańcy Jevez, wychowani w duchu bezwzględnego posłuszeństwa dla siły zbrojnej, pewni, że mają do czynienia z jakiemiś zarządzeniami natury wojskowej, którym opierać się nie wolno, pospieszyli co prędzej do domów, bandyci zaś, pewni teraz zupełnej bezkarności, wtargnęli do jednego z lokali bankowych, steroryzowali groźbą użycia broni dyrektora i zmusili go do otwarcia kasy, z której zrabowali większą sumę pieniężną. Następnie w ten sam sposób ograbili miejscowy urząd pocztowy, poczem, mając już dosyć łupów, wycofali się najspokojniej, przez nikogo nie zaczepieni. Mieszkańcy Jevez bali się nawet wyglądać przez okna, by się nie narazić na odpowiedzialność, „karabin maszynowy" w blasku światła elektrycznego zrobił swoje. Każdy był pewny, że na rynku biwakuje conajmniej kompania wojska na stopie wojennej.

W powrotnej drodze odwiedzili bandyci dwór pewnego okolicznego dzierżawcy, dokąd zamierzali się dostać celem przeprowadzenia rzekomej rewizyi, zrezygnowali jednak z zamiaru, przekonawszy się, że w domu znajduje się dwadzieścia kilka osób służby.

Mieszkańcy Jevez przekonawszy się nazajutrz o właściwym stanie rzeczy, mieli miny bardzo niewyraźne, że się tak dali wziąć na kawał, rozpoczęto też poszukiwania za sprawcami napadu bandyckiego, a dostawszy ich szczęśliwie w ręce, postawiono przed sądem, który, nie uwzględniając humorystycznej strony zajścia, wymierzył im dotkliwe kary więzienia.

I tak się dzieje w „państwie bojaźni Bożej i dobrych obyczajów."



Poświęcenie sztandaru 36 pułku piechoty: Wręczenie sztandaru przez szefa sztabu jen. Sikorskiego dowódcy pułku, majorowi Sawickiemu. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Briand na konferencyi w Waszyngtonie: Inauguracyjne posiedzenie konferencyi waszyngtońskiej w dniu 12 listopada b. r. podczas przemowy Hughesa.

Poświęcenie sztandaru 36. pułku piechoty.

Stosunkowo młoda, bo zaledwie od kilku lat istniejąca, armia polska posiada już bardzo chlubne karty w swych dziejach zapisane serdeczną krwią tych tysięcy, które pospieszyły pod ojczysto standary, gdy podniósł się kamień grobowy, pod którym Polskę, jak się wrogom wydawało, na wieki pogrzebano. Dzięki ich bohaterskim wysiłkom zmartwychwstała, stając jak groźne widmo przed oczami swych ciemięzców i to w chwili, gdy korony trzech władców, którzy przed wiekiem z górą zagładę jej postanowili, spadły w proch uliczny.

Z drobnych początków rozrosła się regularna armia polska w stosunkowo bardzo krótkim czasie w potężny organizm, mający Polsce zapewnić należne jej w świecie stanowisko. W ciągu tych kilku lat tak cała armia polska, jak i poszczególne jej części składowe spełniły tak rzetelnie swe obowiązki, iż wprowadziły w podziw świat cały, przyznający dziś prawo do życia tylko tym, którzy są silni. Armia jest też naszą chlubą, dając pewność, że słuszne nasze interesy znajdą w niej, gdyby tego zaszła potrzeba, dzielnego obrońcę, umiejącego się upomnieć o należne nam prawa. Następstwem tego jest

harmonijne współżycie z nią cywilnego społeczeństwa, interesującego się żywo wszystkiem, co jej dotyczy. Poszczególne formacye naszej siły zbrojnej powstałej przeważnie z oddziałów ochotniczych, związane są też ściśle już to z pewnemi okolicami kraju, już też z pewnemi ugrupowaniami jego ludności. I tak naprzykład 36. pułk piechoty, któremu dała początek zawiązana w r. 1918. warszawska Legia Akademicka uważany jest zupełnie słusznie za jej dalszy ciąg i otaczany szczególniejszą pieczołowitością przez warszawską młodzież akademicką nazywającą go „naszym pułkiem."

Wyrazem współżycia duchowego warszawskiej młodzieży z obecnym pułkiem 36. było ofiarowanie mu wspaniałego sztandaru pułkowego przez słuchaczów czterech najwyższych zakładów naukowych naszej stolicy.

Uroczystość poświęcenia i wręczenia sztandaru odbyła się w Warszawie w dniu 27. listopada b. r. na Placu Saskim wobec przedstawicieli wojskowości, władz rządowych, zagranicznych misyi, delegacyi młodzieży i tłumów publiczności. Po przeglądzie pułku i uroczystem nabożeństwie, odprawionem w kościele garnizonowym przez biskupa polowego ks. dra. Galla, poświęcony przez niego sztandar wręczył rektor Uniwersytetu warszawskiego dr. Mazurkiewicz po stosownej przemowie zastępcy Naczelnego Wodza, jenerałowi Sikorskiemu, ten zaś oddał go komendantowi pułku, majorowi Sawickiemu, przy zachowaniu zwykłego przy podobnych uroczystościach ceremoniału. Następnie przedefilował pułk przed sztandarem, jeneralicyą i gośćmi, poczem powrócił wraz ze swym znakiem pułkowym do koszar, gdzie się odbył dalszy ciąg tego pięknego żołnierskiego święta. Wieczorem odbył się w salach Towarzystwa Wioślarskiego wspólny bankiet, wydany przez korpus oficerski 36. pułku piechoty. Przy tej okazyi wygłoszono szereg przemówień, stwierdzających niezbicie, że armia i społeczeństwo cywilne połączone są ze sobą tak silnymi węzłami, że próżno kusiłby się ten, kto chciałby je zerwać.



Briand na konferencyi w Waszyngtonie: Briand w przejeździe przez ulice Nowego Jorku, dziękuje ludności za owacyjne powitanie.

Briand na konferencyi w Waszyngtonie.

Na konferencyi waszyngtońskiej jedną z najważniejszych ról odegrał premier francuski, Briand, którego mowa, uzasadniająca konieczność utrzymania przez Francyę pogotowia wojennego, żywo komentowaną była przez prasę całego świata, niektóre zaś jej punkty, przedstawione w fałszywem świetle, narobiły wiele wrzawy. W rezultacie odniósł jednak Briand zupełny sukces. Po jego wyjeździe przewodnictwo delegacyi francuskiej objął Viviani.

W mowie swej przedstawił Briand we właściwem oświetleniu obecny stan Europy, o ile dotyczy to interesów francuskich.

Powiedział on między innemi:

We współczesnej Europie istnieją bardzo poważne czynniki nierównowagi oraz takie warunki, że Francya jest zmuszona oceniać je z punktu widzenia swego bezpieczeństwa. Na szczęście, ci Amerykanie, którzy przybyli do Francyi w pełnych grozy godzinach wojny i zaznajomili się z naszemi stosunkami, w wybitny sposób przyczynili się do uświadomienia należytego społeczeństwa Ameryki, tej Ameryki, w której niema europejskich skomplikowanych granic, których granica z żadnej strony nie może być źródłem zaniepokojenia, ani nie domaga się obrony i której obywatel może być skłonny do powiedzenia: „Wojna jest wygrana, pokój podpisany, Niemcy pokonane i posiadające armię w najwyższym stopniu zredukowaną, a materyał wojenny zniszczony. Dlaczego więc Francya utrzymuje nadal na tak wysokim poziomie swoją armię i zapasy materyału wojennego?" Tak, są tacy, którzy usiłują wmówić w Amerykę, że Francya chce zachować tak wielką



Briand na konferencyi w Waszyngtonie: Prezydent Briand wraz z Vivianim na podkładzie okrętu w drodze do Ameryki.



Briand na konferencyi w Waszyngtonie: Briand, przewodniczący delegacyi francuskiej z Hughesem, kierownikiem obrad konferencyi.

siłę zbrojną, ponieważ dąży do hegemonii zbrojnej, podobnie jak to czyniły dawne Niemcy.

Taki zarzut jest dla Francuzów czemś w najwyższym stopniu bolesnem, w najwyższym stopniu okrutnem, zwłaszcza gdyby istotnie okazało się, że nie cieszymy się zaufaniem. Jednakże ci, którzy znają Francyę, wiedzą, że to wszystko jest fałszem, albowiem Francya skłania się stanowczo ku pokojowi, pragnąc go ze wszystkich swoich sił i wierząc weń całą swoją wiarą. Od chwili rozejmu Francya doduienie, w boskim porządku świata". Jenerał Ludendorff cytuje również apologię wojny, propagowaną przez Moltkego, i dodaje przytem, że w przyszłości wojna będzie stanowiła ostatni i najbardziej decydujący oręż na usługach polityki. Oto — mówi Briand — co wyznają całe Niemcy, oto czego tam nauczają i na co Francya nie może być obojętna.

Mówiąc o sile zbrojnej Niemiec Briand oświadczył: Niemcy posiadają Reichswehrę w sile 100.000 ludzi, z których nieomal wszyscy są to b. oficerowie i podoficerowie, zaopatrzeni w instrukcye tajne wydane przez ministeryum wojny w sprawie przygotowań do nowej wojny. Wskutek ultimatum sprzymierzonych kanclerz Wirth nakazał lojalnie rozwiązanie 300.000 Einwohnerwery, ale w zamian za to powstaje natychmiast Sicherheitspolizei, licząca 150 tysięcy ludzi, prawie wyłącznie z b. oficerów, a gdy i ta zostaje rozwiązana — wnet organizuje się Schutzpolizei, posiadająca te same kadry. Koniec końcem Rzesza Niemiecka posiada obecnie 250.000 uzbrojonego żołnierza, systematycznie ćwiczonego, stanowiącego siłę, zdolną do natychmiastowego wchłonięcia w swoje kadry 7 milionów b. uczestników wojny, zrzeszonych w najrozmaitszych związkach i stowarzyszeniach. Międzysojusznicza komisya kontroli zniszczyła wprawdzie ogromne zapasy uzbrojenia, a jednak okazuje się niemożliwem całkowicie przeszkodzić tajnej fabrykacyi uzbrojenia, jak również zakupom uzbrojenia poza granicami Niemiec. W dodatku potężna machina przemysłu niemieckiego jest zdolna w bardzo krótkim czasie wyprodukować olbrzymie zapasy uzbrojenia w chwili ewentualnego wybuchu wojny. Francya nie może lekceważyć tych wszystkich faktów, groźnych dla jej egzystencyi. Napoleon rozbroił Prusy, a jednak Francya krwawiła potem znowu z winy tychże Prus. Iskry pożaru zawsze się tliły skrycie w Europie, nawet rozbrojonej pozornie.



Briand na konferencyi w Waszyngtonie: Członkowie delegacyi francuskiej na konfrencyę waszyngtońską w towarzystwie ambasadora francuskiego przy rządzie Stanów Zjednoczonych. Od lewej ku prawej: Viviani, Fournier-Sarloveze, Briand, jen. Buat, Jusserand, Ph. Berthelot Alb. Sarraut.

świadczyła wiele zawodów: Francya doczekała się ze strony Niemiec kwestyonowania przyjętych zobowiązań i odmowy ich wykonania, zarówno w sprawie odszkodowań, jak w sprawie rozbrojenia. Francya, jakkolwiek posiadając potrzebną siłę, jednakowo też zachowała i spokój, ponieważ pragnęła uniknąć wszystkiego, coby mogło jeszcze zaostrzyć sytuacyę. Francya nie żywi nienawiści do swego sąsiada i uczyni wszystko, co może przyczynić się do zamknięcia seryi krwawych konfliktów między nią a Niemcami.

W ustępie mowy, poświęconym książce Ludendorffa, powiedział Briand, między innemi, co następuje: Jenerał Ludendorff jest apostołem zasady, że „walka jest wiecznem prawem, jest trwałą regułą zarówno dla indywiduum jak i dla państwa, zwłaszcza państwa naturalnego, które posiada swe uzasa-



Nowy poseł łotewski w Warszawie: Martins Nuksza, poseł i upełnomocniony minister Łotwy w drodze do Belwederu celem wręczenia swych papierów uwierzytelniających Naczelnikowi Państwa.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

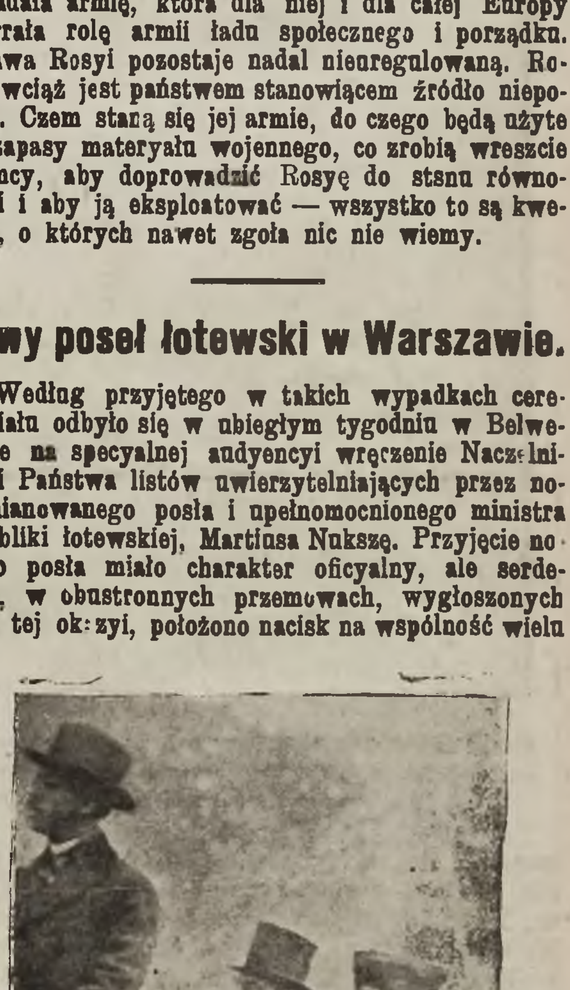
Mówiąc o stanie czynnym armii francuskiej, Briand powiedział: Dotychczasowa 3-letnia służba wojskowa zostanie zredukowana we Francyi do 18 miesięcy, a więc w ten sposób armia francuska zostaje zredukowana do połowy. Więcej uczynić Francya nie może. Francya zwraca się do swych dawnych sprzymierzonych z prośbą, aby nie targowali się z nią w sprawie, która jest sprawą jej bezpieczeństwa, oraz aby jej pozwolili zapewnić sobie to bezpieczeństwo, zgodnie z istotnemi potrzebami chwili obecnej. Chcieć rozbroić Francyę w chwili obecnej, nie byłoby to bynajmniej przyczynieniem się do utrwalenia pokoju ostatecznego. Świat odczuwa potrzebę dowiedzenia się z całą pewnością, czy Francya jest odosobniona, czy też nie. Pierwszym warunkiem moralnego rozbrojenia Niemiec jest właśnie to, aby wiedziały one, iż wszyscy sprzymierzeńcy stoją nadal przy boku Francyi, albowiem wówczas demokracya niemiecka naprawdę zatryumfuje i będzie można mieć nadzieję, że pokój stanie się nie tymczasowym. Francya uczyni wszystko, aby przyspieszyć nadejście tej godziny; wszak zrobiła ona już początek w tym kierunku, zawierając z Niemcami umowy gospodarcze.

Mówiąc o sile zbrojnej Niemiec, Briand wspomniał też o wypadkach, jakie zaszły w okresie plebiscytu na Górnym Śląsku. Gdy konflikt na Górnym Śląsku — mówił Briand — zaostrzył się do najwyższego stopnia, gdy Niemcy nieomal już zdecydowały wkroczyć na Górny Śląsk ze swoją Reichswehrą, w tej to poważnej chwili, gdy odpowiedzialność moja, jako męża stanu doszła do szczytu, wówczas powiedziałem Niemcom: „Hola! to niemożliwe"! i mogłem to powiedzieć, bo mieliśmy na to dość siły. A gdybyśmy wówczas nie mieli po swojej stronie siły, potrzebnej do tego, aby nakazać sobie posłuch, to w jednej chwili zostałby zakłócony spokój Europy, będący tak bardzo skomplikowaną sprawą wobec młodych nowopowstających państw. A teraz znowu była świeża próba restauracyi monarchii w Europie, ale dzięki zgodzie pomiędzy sprzymierzonymi i dzięki pogotowiu wojennemu, cały incydent został natychmiast i z łatwością uregulowany.

Mówiąc o Rosyi, Briand powiedział: Rosya nie jest czynnikiem, który można lekceważyć, skoro może zmobilizować 20 milionów ludzi i skoro posiada półtora miliona ludzi zmobilizowanych, a zwłaszcza skoro jest w stadyum fermentu anarchistycznego. Gdy Rosya ruszyła na Europę, usiłując przewalić się przez Polskę, jakież straszne godziny trwogi przeżywać musiała wówczas Francya. Gdyby baryera polska została przekroczoną, gdyby sowiecka armia anarchii połączyła się była z siłami zbrojnemi Niemiec, to cóżby się wówczas stało z Francyą, coby się stało z całą Europą? Ale na szczęście Francya posiadała armię, która dla niej i dla całej Europy odegrała rolę armii ładu społecznego i porządku. Sprawa Rosyi pozostaje nadal nieuregulowaną. Rosya wciąż jest państwem stanowiącem źródło niepokoju. Czem staną się jej armie, do czego będą użyte jej zapasy materyału wojennego, co zrobią wreszcie Niemcy, aby doprowadzić Rosyę do stanu równowagi i aby ją eksploatować — wszystko to są kwestye, o których nawet zgoła nic nie wiemy.

Nowy poseł łotewski w Warszawie.

Według przyjętego w takich wypadkach ceremoniału odbyło się w ubiegłym tygodniu w Belwederze na specyalnej audyencyi wręczenie Naczelnikowi Państwa listów uwierzytelniających przez nowomianowanego posła i upełnomocnionego ministra republiki łotewskiej, Martinsa Nuksza. Przyjęcie nowego posła miało charakter oficyalny, ale serdeczny, w obustronnych przemowach, wygłoszonych przy tej okazyi, położono nacisk na wspólność wielu



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce: Były prezydent Wilson wraz z małżonką w orszaku pogrzebowym.

interesów, łączących ze sobą oba sąsiadujące państwa.

Przed swym wyjazdem z Rygi udzielił p. Nuksza wywiadu tamtejszym dziennikarzom w sprawie swej polityki, jaką się będzie kierował wobec Polski. Zaznaczył on wyraźnie, że staraniem jego będzie utrzymanie z sąsiadami możliwie najprzyjaźniejszej harmonii, oraz nawiązanie z Polską ekonomicznych stosunków, które dla obu krajów mają wielkie znaczenie.

Czy pan poseł dotrzyma swego przyrzeczenia, to dopiero przyszłość okaże, mała Łotwa szukać musi oparcia o silniejszego sąsiada, mając zaś do

RENE BURES

Zil=X...

Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

3) IV.

Spali w pokojach swoich na poddaszu i tylko Jeremi Boche został zbudzony szmerem, skoro znaleziono go napół ubranego w przedpokoju, nieprzytomnego od silnego uderzenia.

Sędzia Giroux następnie kazał przywołać młodego służącego... Młody ten chłopak sypiał zazwyczaj w małym pawilonie dotykającym do willi, składającym się z dwóch pokojów.

Jeremi Boche wyjaśnił chętnie panu Giroux, iż został nagle przebudzony ze snu wielkim jakimś hałasem. Zdawało mu się, że mogła już być pierwsza godzina. Usiadł na łóżku nadsłuchując. Usłyszał wówczas krzyk. Zeskoczył prędko z łóżka, ubrał się naprędce i pobiegł do willi, nie myśląc wcale, że się naraża na niebezpieczeństwo.

Znalazł drzwi od sieni otwarte i po ciemku postąpił kilka kroków naprzód oryentując się błyskiem światła, który biegł od drzwi gabinetu. W tej samej chwili, drzwi się otworzyły i Jeremi olśniony nagłem światłem, zaledwie mógł dostrzec ciemną jakąś postać, która skoczyła do niego i silnie uderzyła go w głowę. Poza tem nie pamiętał już nic.

Wysłuchawszy cierpliwie tego opowiadania, pan Giroux objął przenikliwem spojrzeniem chłopca, życzył mu szybkiego wyzdrowienia i prosił go, żeby był w oczekiwaniu nowego posłuchania.

Wiadomość ta zaniepokoiła młodego służącego.

Sędzia następnie udał się do pokoju, gdzie zbrodnia dokonaną została. Znalazł tam już szefa policyi i doktora rzeczoznawcę. Podczas, kiedy ten ostatni fotografował rany, sędzia podszedł do szefa policyi i zapytał:

— A rodzina?

Na co urzędnik odpowiedział:

— Jest tylko jedna córka, która w tej chwili znajduje się przy matce w klinice doktora Bonespoir, 49, na ulicy Tilsitt.

Pan Giroux wyszedł natychmiast, przywołał swojego sekretarza i wsiadł z nim do automobilu, którym był przyjechał.

Kiedy wsiadał zgraja reporterów rzuciła się ku niemu prosząc o informacye. Pan Giroux jednak odprawił ich wszystkich dosyć brutalnie i niecierpliwie. Ale reporterzy, którzy również posiadali swoje automobile do usługi bez trudu pospieszyli za nim i równocześnie stanęli przed kliniką doktora Bonespoir na ulicy Tilsitt.

Tym sposobem w jednej chwili przed klinikę zajechało siedm automobilów.

Była godzina jedenasta rano. Pan Giroux natychmiast kazał się wprowadzić do kancelaryi doktora.

— Pani de Beaumont znajduje się tutaj, nieprawdaż?

— Tak, panie sędzo.

— Czy jest samą?

— Jest przy niej córka, panna de Beaumont, która czuwa w towarzystwie dozorczyni.

— Proszę mnie zaprowadzić do jej pokoju.

— Pozwolę sobie zauważyć panie sędzio, że chora znajduje się w zupełnym stanie nieprzytomności.

— Nie szkodzi, chcę ją widzieć.

— Dobrze. Ale gdyby się obudziła, to oznajmiam, że najlżejsze wzruszenie zabić ją może. Badanie...

— Któż panu mówi o badaniu? — burknął z niezadowoleniem sędzia.

Doktór zaprowadził go więc do pokoju na pierwszem piętrze, gdzie spoczywała pani Beaumont. Sędzia zbliżył się do łóżka stąpając ostrożnie. Zdawało się, że pani de Beaumont śpi, lecz ciało jej wstrząsało się ciągle niespokojnie. Sędzia pochylił się i patrzał na nią swojemi bystremi oczami. W tej chwili z ust chorej wybiegły urywane słowa:

— Strzeliłam... nie żyje... nie żyje...

Usiłowała zerwać się z posłania, lecz doktór i dozorczyni przybiegli do niej. Doktór wpuścił jej w usta kilka kropel uśmierzającego lekarstwa. Pani de Beaumont opadła na poduszki z zamkniętemi oczami i nie poruszyła się więcej.

Sędzia tymczasem zwrócił się do wysokiej, młodej dziewczyny stojącej w nogach łóżka, noszącej na twarzy ślady łez wylanych.

— Chciałbym pomówić z panią na osobności — szepnął cicho.

Otworzył drzwi, cofnął się aby ją przepuścić i zaprowadził ją do gabinetu doktora. Tam prosił ją aby usiadła i przeprosił, że zmuszonym jest z obowiązku swojego powołania niepokoić ją w tak bolesnej chwili.

— Czy pani znajdowała się w willi Bzów nocy ubiegłej? — zapytał w końcu.

— Nie panie. Byłam od dni ośmiu u... (tu zawahała się) u wuja mego i ciotki państwa de Limandoux w zamku Świerków.

— Wobec tego zadam tylko pani jeszcze jedno pytanie. Czy zauważyła pani, że istniało pewne nieporozumienie pomiędzy panem Eustachym Poivrier, a matką pani?

— Oh! nigdy! wyrzekła z siłą młoda dziewczyna. Dziadek mój i moja matka kochali się bardzo. Kochaliśmy się tak wszyscy troje — zaikała spazmatycznie. Oddałabym życie, aby ta okropna rzecz się nie stała!

Nagłym giestem otarła oczy i wyrzekła gwałtownie:

— Oddałabym je chętnie w zamian za ukaranie winnych... Ja...

W tej chwili drzwi otworzono. Wpadł doktór Bonespoir, wołając:

— Prędko, prędko! Niech pani idzie do matki!

Kiedy panna de Beaumont wbiegła do sali, matka jej już nie żyła.

Kula w głowie.

Znajdowałem się w gabinecie Pawła Daltona siedząc w fotelu naprzeciw jego. „Burza" wydrukowała olbrzymiemi literami anons zaniesiony do redakcyi dnia poprzedniego. I prawie cały Paryż szalał teraz. Paryż zapytywał, kto to był ten tajemniczy Iggins. Paryż czytał setki afiszów rozlepionych po mieście, czytał chciwie „Burzę" i domagał się świeżych wiadomości.

Wszystkie dzienniki poświęcały codziennie kilka szpalt morderstwu senatora Poivrier. Reporterzy gorliwie domagali się sprawozdania wypytując szczegółowo służbę. Wiedzieli już, że nocy owej pan Eustachy Poivrier wszedł do swojego gabinetu po rozejściu się ze swoją córką i zapowiedzeniu małemu służącemu, żeby dobrze zamknął drzwi wejściowe przed udaniem się na spoczynek. Wnioskowali z tego, że senator nie spodziewał się już nikogo tego wieczora.

Wiedzieli również, że pani Beaumont była córką i matką jak najlepszą, że była bardzo religijną i należała do kilku stowarzyszeń dobroczynności. Poza tem, dowiedziano się jeszcze, iż panna de Beaumont zaręczoną była z kapitanem de Limandoux.

Odczytaliśmy z Daltonem te wszystkie informacye, a Dalton zapisał ich kilka ważniejszych w notatniku. Jeden tylko dziennik pisał o afiszach rozlepionych na murach Paryża. Pisał on: „Jest to nowy bluff, reklama skandaliczna i zuchwała, która zakończy się prawdopodobnie anonsem na pastę do butów".

Dalton uśmiał się serdecznie czytając to.

W tem na ulicy rozległo się donośne wołanie:

— „Burza"! „Burza"! Wydanie nadzwyczajne! Śmierć pani de Beaumont".

Dalton otworzył okno i kupił jeden numer, który przejrzał szybko, a potem podał mi mówiąc z naciskiem:

— Przeczytaj i ty.

— Co o tem myślisz? — zapytałem go po przeczytaniu.

— Myślę — odpowiedział Dalton, że znajdą w głowie senatora Poivrier kulę, która wybiegła z rewolweru pani de Beaumont.

— Jakto! Co ty przypuszczasz.

— Nic jeszcze!

— Czyżby pani de Beaumont zabiła ojca?

— Nie mówię, że go zabiła — odparł Dalton spokojnym głosem — Mówię tylko, że strzelała do niego.

— To niemożliwe!

— Niema nic niemożliwego.

Wierzyłem w Daltona więcej niż w kogokolwiek na świecie, jednakże nie mogłem uwierzyć w jego twierdzenie, że pani de Beaumont strzelała do ojca. Nie potrzebowałem czytać dzienników aby poznać życie i wartość tej szlachetnej kobiety.

Nie było osoby w Paryżu, któraby nie wiedziała, że pani Beaumont poświęciła całe swoje życie wychowaniu jedynego dziecka i trosce o los nieszczęśliwych istot pozbawionych opieki. Nigdy jeszcze oszczerstwo nie dotknęło jej osoby. Starałem się więc przedstawić Daltonowi to przekonanie moje z całą siłą i energią na jaką mnie stać było.

Uśmiechnął się tylko.

— Prawisz mi kazanie — rzekł — a nam nic teraz potem. Są fakta. Senator ma kulę w głowie i ta kula wyszła z rewolweru jego córki. Oto co najważniejsze.

— A nieznajomy?

— Aha! nieznajomy.

— Tak, nieznajomy — powtórzyłem gwałtownie. — A człowiek, który uciekł uderzywszy Jeremiego Boche?

— Przyjdzie kolej na nich — odparł flegmatycznie Dalton.

— A tymczasem ty podejrzywasz panią de Beaumont?

— Nie podejrzywam. Konstatuję fakta.

— Nie konstatujesz nic! Nic zgoła! Widziałeś kulę w głowie senatora i nie wiesz czy to kula Smith i Wesson, która wyszła z rewolweru pani de Beaumont! — zawołałem unosząc się.

Dalton wyciągnął zegarek.

— Za parę minut — rzekł głosem zawsze spokojnym — przekonasz się czy mam słuszność. Chodź. Wychodzimy.

W przedpokoju stary służący powstał szybko na nasz widok i podał nam płaszcze i kapelusze. Na ulicy Reimes, na rogu stał automobil wolny. Dalton skinął na szofera i wsiadając rzekł:

— Do Morgi.

Przez drogę nie wyrzekliśmy już do siebie ani słowa.

Na progu tego okropnego budynku stał człowiek, z którym Dalton wymienił jakiś znak porozumienia.

— Czy już zaczęli Markos? — zapytał.

— Nie panie Dalton — odpowiedział człowiek tonem głębokiego uszanowania. — Doktór Bonnel nie przybył jeszcze.

Mówiąc to cofnął się, żeby nas przepuścić.

Nie będę opisywał ohydnej obdukcyi trupa, chcę tylko notować fakta a nie wrażenia.

Staliśmy przy stole operacyjnym gdzie leżały zwłoki senatora. Dalton niewzruszony, spokojny, patrzał na ranę czerwieniejącą na szyi, ja zaś drżałem z obrzydzenia i w wstrętu.

Doktór Bonnel pochylony nisko, otwierał teraz czaszkę, szukał w mózgu. Nagle wyprostował się i wzrócił się do nas.

Na końcu długich szczypców trzymał jakiś przedmiot okrągły.

Była to kula.

Człowiek, którego Dalton nazywał Markosem, podszedł szybko, wyciągnął rękę i chwilę przyglądał się kuli uważnie, poczem zwrócił się do mojego przyjaciela z wyrazem niewytłumaczonego podziwu w oczach.

— Czy można zobaczyć? — zapytał zimno Paweł Dalton.

Z kolei i on przyglądał się kuli i rzekł do Markosa:

— Teraz trzebaby naznaczyć eksperta, któryby zadecydował, że ta kula pochodzi rzeczywiście od rewolweru firmy Smiht i Wesson, sześciomilimetrowego, tego rewolweru, z którego strzelała pani de Beaumont.

— Chodź — rzekł do mnie z uśmiechem. — Szopka już skończona.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy wyrzekł trochę ironicznie, patrząc mi prosto w oczy.

— No i cóż? przekonałeś się?

— Nie, nie byłem przekonanym, Nie mogłem w żaden sposób uwierzyć, że to pani de Beaumont strzelała do ojca.

— Kula wyszła z jej rewolweru — odparłem — to rzecz pewna. Ale było jeszcze dwóch ludzi w pokoju senatora. Ten Anglik, którym się wcale nie zajmujesz i ten drugi, który uciekł. Dlaczego nie chcesz przypuścić, że to jeden z nich strzelił do pana Poivrier z rewolweru wyrwanego z rąk pani de Beaumont?

Dalton nie odpowiedział. Zamyślił się tylko głęboko.

— Żeby tylko obydwa rewolwery nie były tej samej marki — odezwał się po chwili — o ile wogóle było ich dwa. Jeżeli tak jest, cała moja budowa runie. Ale teraz chodźmy na śniadanie. Wielkie wzruszenia wywołują apetyt.

Nie odezwałem się już wcale, nie mogąc zrozumieć Daltona. C. d. n.

JÓZEF LASOŃ.

Spalenie sztandarów

5)

— Jutro odjeżdżam. Nie odchodźcie z mieszkania; pójdę do pana Listowskiego, do hotelu, celem omówienia wszystkiego. Przypominam sobie, że znam go doskonale. Byłem u niego postojem na kwaterze w czasie, gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy. Bardzo zacna i godna rodzina. Zawód zaś rolnika bardzo mi odpowiada. Zacznę od parobczaka. Mam nadzieję, że kiedyś robotę koło ziemi dobrze poznam i korzystnie zawód wypełnię.

Mówi to wszystko bezładnie, jednym tchem, wyrzuca z gardła jak wulkan lawę ognistą. Nagromadziło się to tak dawno i w takiej ilości, iż nic dziwnego, że nieustanną galopadę usiłuje nadrobić, wypróżnić nagromadzone zapasy.

Na skrzydłach pobiegł pod wskazany adres. Co mówił, jakie warunki omówił i zdobył — nie wie, nie pamięta, dość, że jutro rano wyjeżdża z panem Listowskim na Wołyń. Gotów wszystkim rozpowiadać o tryumfach dnia dzisiejszego wprost zaprzeczyłby nastrojowi porannemu swojej duszy. Poranek jest mu obcy, daleki, nic go nie obchodzący; nie zostawił ani krzty goryczy i wprost sam sobie nie wierzy.

Zabiera się gwałtownie do zapakowania skromnych swoich rzeczy. Pomaga mu przy tej czynności Ludwisiowa. Otwierają walizę otartą, przystarzałą trudami wojennymi. Deszcze i śniegi wojenne zgryzły jej politurę, piękną, malowaną powłokę, deski wózków i bagaże współtowarzyszy wygryzły dziury jak szczury okrętowe. Ale mimo wszystko pozostała całością, nie straciła na użytności. Wypróżniają ją solennie, Kotarba wykłada papierem grubym, chcąc wzmocnić ubezpieczyć. Następnie sortują nieruchomości ruchomości, zawarte wewnątrz. Na pierwsze składają się wszystkie niezbędne rzeczy, których Kotarba wyzbyć się nie może, jak para czystej bielizny, dwie chusteczki, para skarpetek i tym podobne drobiazgi. Na drugie, to rozmaite drobnostki, między któremi kollekcya listów i drobiazgów zabiera pokaźne miejsce.

Ludwisiowa rozkładała obrazki, przyglądała im się ciekawie. Są to w przeważnej części oleodruki historyczne. Właśnie trzyma w dłoni rozłożony jeden z większych i w zachwyceniu mówi:

— O...o... taki miał mundur dziaduś!

Jest to oleodruk z czasów Napoleońskich. W zimowy, mroźny dzień wiarusy napoleońskie palą sztandary.

— Ten-ci podobny do dziadusia. Taka samą ma brodę i wąsy. A tę szmatkę, co mu się spaliła, zapewne miał z tych chorągwi? — zapytuje ciekawie Ludwisiowa.

— Naturalnie — potwierdza Kotarba. — Podoba się Ludwisiowej taki obrazek?

— Bardzo!

Z miną profesora uniwersytetu wręcza staruszce oleodruk na własność, jak dyplom uniwersytecki z zakresu historycznego. Zdała świetnie egzamin, zadyplomuje jej się to na wieczność. Staruszka kurczy się w podzięce, z nabożeństwem zwija obraz. Powiesi go na ścianie, przy swoim kąciku, przy modlitwach wspominać będzie dziadusia i Kotarbę. Wszystko już umieszczone w walizie, tylko medale i krzyże zasług wiszą na ścianie. Zdejmuje i zawija w papier.

— Poświęcone? — zapytuje staruszka.

— O tak! Poświęcone krwią i łzami. — Trzyma przez chwilę krzyż walecznych w dłoni, waży myśli, ręka zaś ciężar bronzu. Odpina ze wstążki i wręcza staruszce.

— Matko, zatrzymajcie to na pamiątkę. Nic innego nie mogę wam ofiarować za wasze serce i dobroć. Niechże będzie dla was szczerozłotym, jaki był dla mnie dyamentowym. Jedyną pamiątkę daję, bo nic innego, droższego nie posiadam. Niech on połączy w przyszłości nasze myśli, tak jak połączył serca. Wprawdzie jest to może nieznaczącą pamiątką, ale daję z serca, prawdziwie.

Staruszka słucha, kiwa głową i rozumie. Wie, że dostała perły, których wartość jest w sercu i duszy schowana.

— Przypnę do różańca. Przy każdym różańcu Zdrowaśkę odmówię na intencyę pańską. Przy każdej Zdrowaśce wspomnę o panu. Niech Bóg błogosławi i strzeże.

Błogosławi Kotarbę. W tej uroczystej chwili nachodzi ich Kański. Jest trochę nietrzeźwy, nienaturalnie wesoły. Widząc klęczącego Kotarbę u stóp Ludwisiowej, wybucha śmiechem i mówi:

— Cóż to, oświadczyny? No, mój kochany, sądziłem, że masz lepszy gust. Pociąg do starożytności mają tylko uczeni i antykwarze...

Spojrzenie Kotarby powstrzymuje mu dalszy wypływ drwin. Zorjentowawszy się w sytuacyi, przeprasza Kotarbę i dowiaduje się o zmianie losu przyjaciela. Robi skrzywioną minę, zimno przyjmuje wywody przyjaciela, od czasu do czasu wtrąca swoje uwagi.

— Mój kochany! Być parobasem, w przyszłości ekonomem czy dzierżawcą, cóż to za karyera, co to za życie? Rozumiem, mieć własny, duży majątek ziemski, gospodarować troszeczki, resztę wypuścić w dzierżawę, no to jeszcze. Widzisz, ja nie mam żadnej prostaczej zwarjowanej idei. Życie moje przedstawia się zupełnie realnie. O, patrz, wyciąga z kieszeni plik banknotów — wygrałem dzisiaj przeszło pięćdziesiąt tysięcy, zarobiłem oprócz tego drugie tyle. Mam sposób, że zawsze wygram w karty — nachyla się do ucha Kotarby i zaczyna coś ze śmiechem szeptać.

— Ależ to oburzające — otrząsa się Kotarba.

— Fałszywa moralność — odpowiada Kański — czy ty myślisz, że moi partnerzy inaczej robią i grają? Każdy ma swój sposób. A przytem gra się tylko z ludźmi, którzy mają pieniądze i dla zabawy chcą przegrać. Każda zabawa kosztuje i trzeba za nią słono płacić. Jedni więc grają dla przyjemności, drudzy dla zysku. Zresztą to są przeważnie paskarze, wojenni, zbogaceni lichwiarze, a takich ani społecznie, ani moralnie nie godzi się oszczędzać.

— Grosz skradziony skraść złodziejowi nie jest rzeczą społeczną, moralną, honorową — odpowiada cierpko Kotarba.

— Pomówmy na seryo — przerywa Kański. — Nie rób głupstw i nie wyjeżdżaj gdzieś tam na kresy za parobasa. Mam dla ciebie doskonały interes, możemy go wspólnie prowadzić. Pożyczę ci gotówki i przypuszczę do interesu. Mam z kilkoma znajomymi spółkę handlową. Sprowadzamy przeróżne towary, trochę z zagranicy, a resztę z kraju. Rzecz polega na tem, jak naprzykład obecnie, że z Górnego Śląska tytoń przez granicę trzeba przewieźć. Trochę odwagi, trochę zdecydowania... a wszystko w porządku. Popracujesz, dokąd się da, a potem możesz się śmiać na całe życie. Ja już się zdecydowałem i jutro jadę. Mundur mi ułatwi.

Kotarba nie odpowiada nic. Jest przekonany, że daremne są wszelkie retoryczne omawiania projektu Kańskiego; stoi przed nim człowiek silny, zdecydowany, który chce żyć dobrze, bez wielkich wysiłków i ofiar. Silny pożera słabszego. Zdecydowany kładzie silnego.

— Zgoda? — zapytuje Kański.

— Nie! — odpowiada krótko Kotarba. — Zdecydowałem się i pójdę w wytkniętym kierunku.

Ludwisiowa pół na pół słyszy i cząstkę zaledwie z wszystkiego rozumie. Ale to, co robi Kotarba, święcie akceptuje, przytakując głową.

Już jest późna nocna godzina. Ludwisiowa zapowiada, że rano odniesie walizkę do dworca kolejowego. Zabiera otrzymane podarunki i wychodzi, dziesięciokrotnie życząc dobrej nocy, skurczając się przy pożegnaniu.

Kotarba czuje się zmęczonym, a mimo tego nie może zasnąć. Kański opowiada dzieje dnia ubiegłego, planuje przyszłość, jaśniejącą mu w tysięcznych kolorach. Wszystko stawia na jedną kartę: przegra, wygra. Jest młody, silny, zdecydowany.

— Czy słyszysz? — mówi do Kotarby — za rok muszę być bogaty. Naucz się gospodarstwa, wydzierżawię ci majątek.

Kotarba udaje, że śpi.

Sen zbiegł gdzieś z powiek, przyczaił się na dni następne. Gdy już nerwy uspokoją się, obejmie go jutro, pojutrze, silnie w ramiona, powali na ziemię niedźwiedzią łapą, zwali na kamień, czy ziemię, poczem wypuści wypoczętego, odświeżonego. Wyczekuje poranku, jak tam ongiś na placówce, w oczekiwaniu nieprzyjaciela. Ten nieprzyjaciel jest obok niego ukryty i czyha. Jest to jego los, jego współtowarzysz broni, który na drugim łóżku mrukiem żołądka daje sygnał, że jest i czuwa.

— Wchodzimy w nowe życie — monologuje. — Wchodzimy w społeczeństwo, by się kiedyś stać jego rdzeniem. Tak jak szturmem okopy trzeba brać, wytężyć nerwy, energię i serce, rękami silnie uchwycić broń i ruszyć do ataku, tak trzeba iść w społeczeństwo, bez względu na zadane rany, na trudy, na krew, aby na zdobytej reducie sztandar swojej idei zatknąć, okopać się, umocnić na wieczność. I on, Kański, idzie w społeczeństwo. Również zdobyć musi szturmem wytkniętą redutę idei swojej, zatknąć sztandar; reduta ta jednakże jest podminowana. Jeden fałszywy krok, jedna iskra i wyleci w powietrze z Kańskim, z jego sztandarem i ideją. Pogrzebie go na wieczność, nie pozostawi śladu. Ma ochotę przebudzić Kańskiego, dopiero co wysączone myśli przedstawić, nakłonić do zmiany w planach, do obrania innej reduty, nie podminowanej. Zastanawia się, że to daremne. Może zostać przy ataku wstępnym Kański ranny, to go jedynie może ocalić od zdobycia reduty, od wylecenia w powietrze w chwili zatykania sztandaru. Żal mu przyjaciela. Nie jest zły, tylko życie go wojenne, wykoszlawiła wojna. I znów nasuwa mu się na myśl Szczygieł. Reduta Szczygła nie jest-że podobna do reduty Kańskiego?

— Jest! — wypowiada to słowo głośno, bezwiednie wyrywa mu się z ust. — Zawiera pierwiastek szlachetny, ale jest ideą, której reduta napełniona prochem, wyrzuci kiedyś zdobywcę w powietrze, jak wulkan lawę ognistą i rzuci na morza nieznane, na cienkiej skorupie zaschłej idei. Więc idziemy! — mówi do siebie Kotarba — każdy z nas ma cel, każdy z nas ustalił redutę.

Świta.

Jesienny dzień wstaje leniwie, z poza widnokręgu słońce rozlewać poczyna swą jasność. Jedzie skądś z wysp beznadziejnych idei Szczygła, pooglądawszy jego reduty, ociepliwszy morze przez które będzie płynął do idei. Promienie słoneczne wyigrawszy się po wodach oceanów, wykąpane, świeże, poczynając drgać wśród szarzyzny mroku, naigrawać się z płynących w beznadziejnym celu i kierunku chmur i przedzierać ku ziemi. Kotarba myśli o tem, że w tej chwili promienie czynią wywiady na wołyńskich stepach, wysłane jako straż przednia słońca. Za chwil kilka oglądnie jego redutę. Przypatrzy się piaskom i moczarom, które krwią i potem ma użyźniać własnemi rękami, w złoty piach siać ziarno, by kiedyś wyciągnąć szczerozłote bryły ziarn. Może mu nieraz w upalne dnie pomoże, rankiem wykąpane promienie osadziwszy na zasiewach. Wygląda to tak, jak gdyby nocą słońce piło promieniami wodę z oceanów, rankiem osadzało rosę. Wieczorem będzie na reducie Kańskiego. Oświetli mu graniczny las, przez który Kański nocą przejeżdżać będzie, zaczaiwszy się w dzień. Szczęśliwe, że nie będzie świadkiem czynu, umknie, skryje się w widnokręg, zostawiając resztę reduty Kańskiego księżycowi, którego ludzkość uczyniła patronem złodziei, wyrzutków, wszelkiego zła i zbrodni. On, księżyc, boleśnie to czuje i mści się przy sposobności na swoich pupilach i w chwilach złego uczynku rzuca snop promieni, spłaszając lub wykrywając sprawców. Oto reduta Kańskiego. Kurhan graniczny, szulernia z fałszowanemi kartami.

Wczesnym rankiem zrywa się z łóżka, wypręża zmęczone członki i ręce i głosem silnym, pełnym wiary mówi:

— Gotowym. Naprzód! Marsz na redutę!

Kraków, dnia 12 listopada 1921.

LEON GOZLAN.

AMATOR

1)

Któż nie znał kawalera Hektora Loisel de Dardennes i któż nie zapomniał już o nim, chociaż zaledwie 50 lat mija, jak opuścił swoją doczesną lepiankę, to jest wyraźniej mówiąc, swój szlafrok z mory japońskiej, żeby go na śnieżne skrzydła błogosławionych zamienić. Na szlafroku tym rozgałęziały się ze wszech stron, szeroko, sztuką wschodnich tkaczy wyrobione niebieskie tulipany, zakończone czerwonymi smoczymi ogonami i niebieskie głowy smoków czerwonymi tulipanami zakończone. Kiedy się nieboszczyk kawaler przechadzał po swoim tarasie, a gdy wiatr był, to wyglądał wówczas, jak parawan chiński, który miał ulecieć w górę. Oddał ducha Bogu w tym samym szlafroku, a liczył wówczas rok życia ośmdziesiąty.

Będąc bogatym potomkiem szlachetnej rodziny, nic mu nie przeszkadzało wejść w ślady przodków, którzy byli po największej części członkami Tuluzkiego parlamentu; jednakże ograniczył się tylko na dochodach z dóbr swoich. Inne jeszcze powody skłoniły go do stronienia od świata. Jąkał się, nosił głowę dziwnie przekrzywioną i był napadany jakiemś nerwowem drżeniem, które zwłaszcza w młodości wielce go trapiło. Jednakowoż pan Loisel de Dardennes byłby może nakoniec ustąpił życzeniom swojej rodziny, która była przekonaną, iż sprawiedliwość ulotni się z tej ziemi, jeżeli jeden z Dardennów nie będzie jej wymierzał w parlamencie Tuluzkim, byłby może przywdział poważną suknię sędziów, gdyby nie skłonność jego do starożytności. Pewnego razu widząc niekształtny kadłub, szczątek jakiegoś posągu greckiego w ogrodzie swego ojca, wykrzyknął z silną wolą: „Nie, nigdy nie będę członkiem parlamentu". I stało się. Ten kadłub grecki stał się dla niego zasadą, według której życiem swojem rozporządził.

Ze śmiercią ojca odziedziczył on zbiór obrazów, który stał się jądrem galeryi, mającej kiedyś jedno z najświetniejszych pomiędzy zbiorami europejskimi tego rodzaju zająć miejsce. Objawiwszy niewzruszone postanowienie nie wejścia do parlamentu, ściągnął tem na siebie nienawiść wszystkich krewnych, tak bliskich, jak i dalekich, zerwali oni z nim wszystkie stosunki, oznaczając go pomiędzy sobą pogardliwem mianem: handlarza starzyzny. Był on bowiem nie tyle nawet znawcą, ile amatorem starożytności, co nie dozwoliło jego gustowi rozwinąć się i wykształcić.

Zanim puścimy się wraz z nim na to wielkie morze, zasiane szczątkami biednych, zatopionych antykwaryuszów, nie będzie od rzeczy odsłonić jeszcze jedną stronę charakteru naszego bohatera.

Ojciec jego, kiedy już czuł zbliżającą się śmierć, kazał przywołać do siebie syna i rzekł:

— „Dardennes!"

— Co rozkażesz Ojcze!

— Dardennes! Nakazuję ci zachowywać w poszanowaniu i nie zbywać pod żadnym pozorem dwóch moich legatów: mojego zamku w Dardennes i mojej biblioteki. Zamek Dardennes jest dla nas starą pamiątką rodzinną; biblioteka zaś źródłem, z którego czerpałem wykształcenie, jakie mi później posłużyło do nabycia niejakiej wziętości w parlamencie. Przyrzecz mi, że nigdy nie sprzedasz ani mojego zamku, ani biblioteki. Jest to ostatnie życzenie twojego umierającego ojca.

I starzec oddał ducha Bogu, zaufany w przyrzeczeniu swojego syna.

Zaledwie oczy ojca zamknęły się na wieki, Dardennes syn, zrzucił z siebie swój tulipanowo-smoczy szlafrok i zacierając ręce, odezwał się w te słowa:

— Ponieważ nikomu zdawać teraz sprawy nie winienem ani z moich czynności, ani z mojego majątku, muszę skompletować sobie mój tuzin obrazów flamandzkich i dlatego trzeba pomyśleć jak najśpieszniej o podróży do Holandyi. Jedynem bowiem lekarstwem na taką boleść jak moja, po stracie, jaką poniosłem, jest zmiana miejsca i obrazki flamandzkie.

Więc żeby skompletować cały tuzin, miał bowiem tylko dotąd 8 obrazków szkoły flamandzkiej (która najpierwsze w jego miejscu zajmowała miejsce), kawaler Dardennes kazawszy wystawić przepyszny marmurowy pomnik na grobie ojca, zaczął się wybierać do Amsterdamu, stolicy ojczyzny Bakerów, Bambochów, Berghemów, Coxciejów, Hoogów i wszystkich nieśmiertelnych geniuszów zrozumianych i kochanych w każdym narodzie i szczęśliwszych w tym względzie od nieszczęśliwych poetów, co lubo tak jak oni muszą się stać ofiarą śmierci, wystawieni są jeszcze oprócz tego na pastwę tłómaczom, co można nazwać śmiercią w śmierci.

Jednak zanim się udał w podróż zamierzoną, jeden z jego stryjów wziął go na stronę i tak mówił do niego:

— Kawalerze, czy nie sądzisz, że stosownem jest, zanim udasz się w tak daleką podróż, połączyć się związkami małżeńskimi z panną Sainthe Marthae de Brancey. W podróży możesz umrzeć. Cóżby się stało z twoim majątkiem? Panna de Brancey jest młoda, piękna, a przytem w pokrewieństwie z nami.

— Kto to jest ta panna de Brancey? — zapytał kawaler.

— Wszakem ci powiedział, że to nasza krewna.

— A... krewna?...

— Tak...

— Czy... flamandka?...

— Jakto flamandka? urodzona w Walencyi w Delfinacie.

— Jeżeli nie jest flamandką... to niepodobna...

— Ależ ona ma wiele miłych przymiotów, rozsądna, gospodarna, oszczędna.

— A do jakiej szkoły należy?

I żadnym sposobem stryj kawalera nie mógł mu wytłumaczyć, że tu rzecz szła o kobietę, a nie o obraz.

Amator był nieuleczonym w tym względzie.

Było to przy końcu roku 1720, kiedy brama zamku Dardennes zawarła się za ostatnim potomkiem tej rodziny, udającym się w świat, gdzie go wrodzone wzywało powołanie. Miał on wówczas około 22 lat wieku. Jechał przeto do Marsylii, w porcie którego to miasta spodziewał się znaleźć jakiś okręt, wyruszający w drogę, coby go do Antwerpii mógł zawieźć.

Przejeżdżał przez Aix.

Kiedy przejeżdżał bramę tego miasta, oficer okrętowy zapytał podług zwyczaju:

— Gdzie pan jedzie?

— Do Marsylii.

— Pan zapewne jest doktorem?

— Co znaczy to pytanie?

— To pan nie jest doktorem?

— Ale cóż panu zależy na tem, żeby się dowiedzieć czem ja jestem.

— Pan chyba jest aptekarzem?

— Nie jestem panie, ani doktorem, ani aptekarzem.

— Więc czemże pan jesteś?

— Jestem obywatelem Francyi żyjącym z własnych dochodów, a przytem amatorem obrazów flamandzkich, odpowiedział z niecierpliwiony Dardennes.

Na to oficer zamykając z największem zadziwieniem drzwiczki powozu kawalera, rzekł do niego!

— Niech pan jedzie, kiedy się to panu tak podoba.

„Mam dwóch Keyserów mówił sam do siebie kawaler jadąc w dalszą drogę, jednego Lairessa, jednego Schalkenae, jeżeli mi się uda pochwycić ze dwóch Sneydersów, będzie to niełada sztuką. Muszę mieć koniecznie ze dwóch Sneydersów, chcę mieć psów i „śpiżarnię" tego wielkiego malarza. Ze „śpiżarnią" będzie bieda".

Na wpół drogi z Aix do Marsylii, znowu jakiś oficer zatrzymał powóz i zapytał podróżnika:

— Gdzie pan jedzie?

— Do Marsylii.

— Do Marsylii?

— Naturalnie że tak, przecież nie jestem na drodze do Stokholmu?

— Czy pan nie jest doktorem.

— Nie, panie, wcale nie jestem doktorem.

— To chyba aptekarzem?

— Tem bardziej nie. Ale to żarty....

— Może botanistą.

— Ani botanistą, ale cóż u licha mości panie....

— W takim razie....

— W takim razie, zrobisz mi pan przysługę, jeżeli mnie pan dłużej nie będziesz zatrzymywał. Chcę kompletować mój zbiór obrazów flamandzkich.

— Pocztylionie! do Marsylii.

„Ograniczam wielce moją ambicyę w tym względzie, mówił dalej do siebie Dardennes i nikt zapewne życzeń moich przesadzonemi nie znajdzie, kto się dowie, że chcę tylko skompletować cały tuzin moich flamandzkich obrazów, tuzin tylko, ale muszą być wszystkie prześliczne, zachwycające, doskonałe. Jakby to było pięknie, żebym ich posiadał dwadzieścia jak kardynał Temporani w Avignonie, albo dwadzieścia cztery, cztery więcej niźli kardynał Temporani, ale to by kosztowało strasznie wiele pieniędzy".

Miał już wjeżdżać do Marsylii, kiedy trzeci jakiś oficer zabiegł mu drogę wołając:

— Gdzież to pan jedzie?

— Wszak pan widzisz dobrze; pocóż to pytanie?

— Jakto pocóż to pytanie? gdzież pan jedzie?

— Bardzo naturalnie, że do Marsylii.

— Pan więc jest doktorem?

— Cóż u licha, czyście się panowie wszyscy zmówili, czy co?

— Ja się pytam, czy pan jest doktorem?

— Nie.

— Aptekarzem?

— Nie, nie i nie.

— To chyba pan jesteś przedsiębiorcą nagrobków.

— Panie oficerze, żeby nie to, że mi tak pilno jechać do Holandyi po obrazki flamandzkie, prosiłbym pana o zdanie mi sprawy ze słów swoich... Ale Snyders, ale Bamboche, ale Mierys, są dla mnie daleko większej wagi niż pojedynek na szpady. Proszę więc pana puścić mię do miasta.

— Nie mam zakazu wpuszczanie waryatów do Marsylii, niechże sobie pan jedzie, ale jeżeli pan będziesz jechał z powrotem, proszę mi się pokłonić po drodze.

Kawaler Dardennes wjechał więc do Marsylii.

— Co znaczy ten tłum — tak licznie zgromadzony? — zapytał wychylając głowę z drzwiczek powozu jakiegoś przechodzącego, który zasłaniał sobie twarz chustką nakropioną octem.

— To pogrzeb.

— Nieboszczyk musiał mieć zapewne wielu przyjaciół, mówił dalej kawaler, bo orszak pogrzebowy nader się licznym wydaje, Czy to nie był przypadkiem jaki bogaty amator obrazów? Nie wiesz pan jego nazwiska?

— Nazywa się tysiąc pięćset.

— Jakto tysiąc pięćset?

— Czyż pan nie widzisz, że to jest pogrzeb tysiąca pięciuset zarażonych, trzystu więcej niż wczoraj.

— Więc zaraza jest w Marsylii? — zapytał kawaler.

— A jest, i to do tego stopnia, że pan sam musisz być zarażony, odpowiedział przechodzień patrząc nań zyzowato.

— Nie wiedziałem nic o tem — pomruknął Dardennes — nic mi 'o tem nie mówiono, prawda i to, że przez cały rok nie wyjeżdżałem z mojego zamku, zanim przywiodłem do skutku zamiar podróży do Honlandyi. To więc dlatego po trzy razy zapytywano mnie w drodze, czy nie jestem doktorem. A... więc zaraza jest u was?

— Tak panie, od miesiąca blisko.

— Musiało tu umrzeć wielu ludzi?

— Przeszło dwadzieścia tysięcy osób.

— Czybyś mi pan nie mógł powiedzieć, czy pomiędzy tymi dwudziestoma tysiącami nie umarł jaki właściciel galeryi obrazów flamandzkich. Nie idzie mi ani o wielkość, ani o cenę, byleby były czysto flamandzkie.

Ale zapytany nie mógł mu odpowiedzieć, bo w tejże chwili padł na ziemię tknięty zarazą.

— Głupi naród, bez żadnego zamiłowania do sztuki — rzekł sam do siebie kawaler, jadąc dalej.

Przez stosy umarłych i umierających przybył wreszcie do portu, w którym stało kilka statków smutnych i rozbrojonych, bez żadnej osady.

Musiał przyrzec bardzo wielką sumę pieniędzy kapitanowi statku przewozowego holenderskiego, który się znajdował w porcie, za odwiezienie go do Antwerpii. Robił on to nie dla ucieczki przed zarazą, ale dla prędszego przybycia do Holandyi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Czas leci naprzód jak gdyby mu się naprawdę spieszyło. Oto druga kronika tygodniowa w grudniu jeszcze trzy, a pożegnamy się ze starym rokiem i powiemy mu: „Adieu Fraziu!... Bądź zdrowa, pisz do mnie na Berdyczów, ale, broń Boże, nie wracaj!...“

Rok 1921. ma to do siebie, że sprzeciwia się zasadom, głoszonym przez tak nieomylną wyrocznię, jak kalendarz który wprawdzie myli się czasem, ale tylko na gruncie przepowiedni meteorologicznych, powtarzanych z zasady dosłownie z roku na rok. Otóż kalendarz powiada, że rok liczy pięćdziesiąt dwa tygodnie, a ten tymczasem bieżący, przynajmniej o ile to dotyczy „*Nowości Illustrowanych*“, wykazuje czarno na białem pięćdziesiąt trzy i z tego powodu ma kronikarz przyjemność pięć razy w grudniu podzielić się z czytelnikami tem, co jego i ich boli i dotyka.

Przedewszystkiem zatem składając sprawozdanie z ubiegłego tygodnia, musi zaznaczyć, że tego roku, niestety, obejść się musiało bez „lania“, ale nie w guście onego, jakie się stało udziałem w Warszawie Sadzewicza, a w Krakowie jego młodszego kolegi po piórze, lecz „andrzejowskiego“, do którego potrzebny jest wosk lub ołów, a nie ręka, kij lub parasol. W wigilię św. Andrzeja zebrała się wprawdzie rodzina przy wspólnym stole i, po herbatce dość skąpo „ocukrzonej“ sachaVyną, miała się zabrać do tradycyjnego tego aktu, pokazało się jednak, że wosku brak. Po długich a skrzętnych poszukiwaniach znaleziono wreszcie kawałek ołowiu, mogącego służyć jako dowód, że żyjemy jeszcze pod znakiem Marsa, a pokojowa praca pszczółek nie miała dotąd czasu, aby wydać owoce, brak zatem miodu, tak u Kobackiego lub Wójcikiewicza, niemniej wosku i to nie tylko do lania, lecz nawet i do froterowania podłóg. Z ołowiem są zaś przy akcie „lania“ pewne trudności, potrzebuje on mianowicie do roztopienia silnego ognia, a wiadomo, z jakimi to dzisiaj połączone jest kosztami. Za metr drzewa trzeba płacić tysiące, węgle, podobnie jak brylanty, sprzedaje się na karaty, za odstawę do domu trzeba płacić również słono, a jeśli chcesz załatwić to tanim kosztem, ukradną ci przy tej sposobności... spodnie, jak to spotkało kronikarza. Z tego zatem powodu, gdy chodziło o zapalenie w piecu nadprogramowo, Weronika, zabawiła się w śp. kardynała Puzynę i założyła swoje stanowcze *veto*, gdy zaś chciano ją przekonać, że nie ma słuszności, sprzeciwiając się temu, co jest uświęcone tradycyą wieków, jak lwica, broniąca swych młodych, zasłoniła swą osobą duckę, w której na dnie znajdowało się jeszcze trochę drzewa i jakiś kamień, zastępujący ogniotrwałe węgle, wołając z rozpaczą w głosie:

— Chyba po moim trupie!...

Lanie zatem z powodów od Redakcyi niezależnych nie odbyło się, nikt przecież z tej racyi straty nie poniósł, nie ulega bowiem kwestyi, że tak, jak i w poprzednich latach, byłaby się nam ulała figa, należąca wprawdzie, według botaniki do owoców południowych u nas jednak bardzo popularna. Fantazya biorących udział w „laniu“ kształtom jej umie nadać rozmaite znaczenie, faktem jest przecież, że figa pozostaje figą.

Większy daleko kłopot, co będzie z wieczerem wigilijnym, niema bowiem nadziei, aby tak zwany umysłowo pracujący inteligent, a do tej kategoryi ludzi kronikarz ma śmiałość się zaliczać, mógł sobie pozwolić na kupno rybki. Jeśli się zważy, że w roku ubiegłym, o tym czasie, gdy za pudełko zapałek płaciło się dwie marki, kilo karpia kosztowało w Krakowie marek dwieście czterdzieści, wiedząc o tem, iż dziś za zapałki żądają marek piętnaście, łatwo sobie przy pomocy „reguły trzech“ zliczyć ile trzeba mieć przygotowanej monety, aby rodzina, złożona z kilku osób, mogła się uraczyć, bodaj kawałeczkiem szczupaka lub karpia, w braku ich bodajby ogonkiem ze śledzia, za którego, jak gdyby na urągowisko, że mamy własny dostęp do morza, płacić się musi prawdziwie bajońskie sumy.

Gdyby kronikarz wybrał się był na konferencyę do Waszyngtonu, byłby się zaopatrzył we wędkę i podczas powrotnej drogi łowił rybki, niestety, okoliczności (także i te, które mu skradziono...) wyjazdowi stanęły na przeszkodzie.

Może to jednak i lepiej, że został w Krakowie, nikt bowiem nie może mu czynić zarzutów, iż konferencya, dzięki jemu, nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Dotychczasowy jej wynik taki, że na amerykański projekt częściowego rozbrojenia na morzu zgodzono się w zasadzie, to jest, „nie kładąc tamy dobroczynności“, czyli, innemi mówiąc słowy, iż każdy z uczestników postąpi, jak będzie uważał za słuszne, a przedewszystkiem za korzystne dla siebie. Delegaci mocarstw wyjechali do Waszyngtonu niezawodnie za dyetami dziennemi i dla tego radzi się im tak dobrze, że postanowili zaraz w styczniu zebrać się ponownie, aby się zastanowić nad rozbrojeniem na lądzie, potem przyjdzie kolej na powietrze i td. I Mojżesz dlatego tylko prowadził żydów z Egiptu do Ziemi Obiecanej lat czterdzieści, iż Towarzystwo Emigracyjne, z którego ramienia występował, płaciło go dziennie, nie ryczałtowo. Ze sprawozdań, jakie z obrad konferencyi do nas doszły, nabraliśmy pewności, że było to młócenie słomy, a najbardziej spodobały się wszystkim trzy dusery, jakie Briand miał rzekomo na odjezdnem rzucić Anglii, Stanom Zjednoczonym i Włochom, gdy ich przedstawiciele nalegali, aby Francya przystąpiła do redukcyi swej armii. W trzy dni później te same pisma, które włożyły Briandowi w usta słowa prawdy, odwołały swe poprzednie doniesienia, tłómacząc się, że zaszła pomyłka skutkiem fatalnego działania wody morskiej na depeszę własnego korespondenta“, gdy przebiegała druty kabla podmorskiego. Jak było, tak było, ale przyznać trzeba, choć Briand słów swych nie wyrzekł, że powiedział prawdę i dlatego Włochy tak się tem czuły dotknięte. Nikt nie lubi, gdy się mu prawdę powie w oczy.

Rezultat waszyngtońskich obrad równa się zatem zeru, jeśli się zaś do tego doda, że naprężenie stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Japonią z jednej strony, a Anglią i Francyą z drugiej staje się coraz wyraźniejsze, wielką wagę przypisać się musi słowom niewiadomo dlaczego przez *Kuryerka* nazwanego „londyńskim prorokiem“, amerykańskiego żebraka, o którym czytamy „według pism nowojorskich“, iż przepowiedział marszałkowi Fochowi, gdy ten sięgał do kieszeni, by mu dać jałmużnę, że będzie świadkiem jeszcze jednej wojny, ale sam w niej udziału nie weźmie. Amerykańskie dziady zajmują się widocznie polityką i nie wykluczają ewentualnego starcia zbrojnego, jak z tego wnosić należy, między Ameryką a Japonią i to może już w niedługim czasie.

Do Waszyngtonu wybiera się obecnie na zakończenie koferencyi Lloyd George w swojej własnej osobie, a jego przyjaciele przygotowują mu podobno wjazd tryumfalny na honorowym rydwanie, ciągnionym przez Niemca i Włocha, a popychanym przez żydowskich spekulantów giełdowych. Jak nas zapewnia, „nasz własny korespondent“, już w Nowym Jorku powita Lloyd'a George'a serdecznemi słowy statua Wolności, a śp. Waszyngton, z pomnika swego przed Białym Domem wygłosi do angielskiego premiera odpowiednią przemowę, życząc mu powodzenia w jego polityce, prowadzącej do tego, aby Anglię spotkał los Persyi, Rzymu, Hiszpanii, a ostatnio Niemiec, które tak długo nadymały się, aż pękły. Ma Anglia wprawdzie wielu przyjaciół, chcących wraz z nią robić interesy, wszystko jednak musi mieć swój koniec, a tem samem i panowanie, oparte na ucisku i to w czasach, gdy głosi się szczytne zasady wolności i samostanowienia narodów o swym losie.

Przyjęcie Lloyd'a George'a w Ameryce ma osłabić powitanie, z jakiem spotkali się za Oceanem Francuzi. I na tem polu rywalizuje Anglia z Francyą, czy jednak w danym wypadku skutecznie, to okaże najbliższa przyszłość, o ile znowu Lloyd'owi George'owi nie stanie na przeszkodzie jakaś nagła sprawa, która mogłaby pokrzyżować jego zamiary. Nie należy oczywiście wątpić, że do uroczystego powitania Lloyd'a George'a przyczynią się także i Irlandczycy, których dzięki dotychczasowej polityce rządu angielskiego, tak wielu szukać musiało gościny na amerykańskiej ziemi. Zdaje się jednak, że angielski premier chętnie bardzo uwolniłby się od owacyi z ich strony.

Wzajemne stosunki w łonie Koalicyi, dzięki intrygom, idącym przeważnie z Londynu, pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Stany Zjednoczone, prócz troski o ich wierzytelności u sojuszników, niewiele obchodzi, co się dzieje w Europie, Japonia najzupełniej głowy sobie tem nie zaprząta, natomiast trzy europejskie mocarstwa koalicyjne drą ze sobą wzajemne koty. Ma się tu na myśli ciągłe tarcia między Anglią a Francyą, Włoch bowiem, choć udają mocarstwo, na seryo nikt nie bierze. Trzymają się kurczowo poły angielskiego surduta i, posłuszne podyktowanym z Londynu rozkazom, coraz jawniej okazują swą niechęć Francyi, gotowe natomiast każdej chwili rzucić się w objęcia Niemiec nie tak dawno jeszcze uważanych za największych wrogów wszystkiego, co włoskie. W ręku Lloyd'a George'a stają się one tym pionkiem, który ma służyć do zaszachowania Francyi.

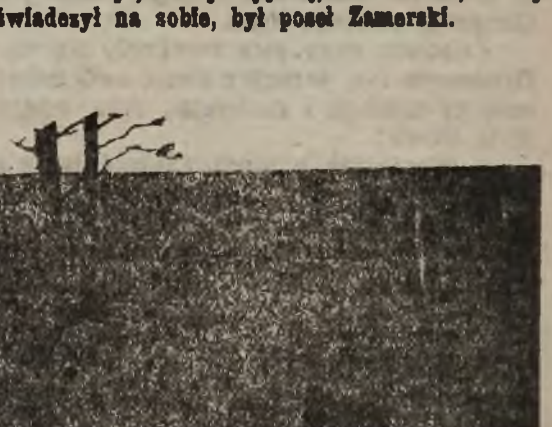
Polityka angielska zmieniła się o tyle, że, gdy przed ośmiu laty, to jest przed wybuchem światowej wojny, uważano w Londynie Niemcy za najgroźniejszego wroga, przeszkadzającego Anglii do objęcia hegemonii nad całym światem, dziś miejsce to zajęła Francya. Lloyd George wszelkimi sposobami stara się podstawić Francyi nogę, nie chcąc dopuścić do tego, aby wzrosło jej znaczenie, a przyznać musi, że polityka rywalki jest daleko mądrzejszą i praktyczniejszą od tej, jaką sam prowadzi. Popiera zatem jawnie Niemcy wbrew interesom francuskim, przyczynił się do zamącenia harmonii między Francyą a Włochami, wyszukuje sposobności, gdzie można zaszkodzić Francuzom, a jednym z takich kozłów ofiarnych, które spalone zostały na stosie, omal nie stała się przed rokiem Polska, gdy jej groził zalew bolszewicki. Lloyd George nie wahał się poświęcić Polskę, byle Francya straciła najpoważniejszego ze swych obecnych sprzymierzeńców, przy których pomocy mogłaby się stać niebezpieczną dla interesów angielskich na terenie europejskim.

Obecnie wysunięto w Londynie przeciw Francyi ciężkie działo, czyniąc jej zarzut, iż na swoją rękę, bez wiedzy sojuszników, zawarła układ z tak zwaną Turcyą europejską, noszącą to miano z tego powodu, iż mieści się obecnie w Azyi. To się angielskim politykom bardzo nie podoba, w interesie ich leży zupełne zniszczenie Turcyi, każdy zatem zabieg, mający na celu jej wzmocnianie, uważany jest nad Tamizą za zbrodnię przeciw Anglii. Oburzają się angielscy mężowie Stanu na francuskich, że nawiązując stosunki z Kemalistami, uczynili to bez ich pośrednictwa, na którem mogliby sami coś zarobić, a obu kontrahentów puścić z kwitkiem, zapominają jednak o tem, że nie tak dawno temu, kumając się z rosyjskimi bolszewikami, bynajmniej nie pytali francuskiego sojusznika o zdanie, jak się na tę kwestyę zapatruje. Działali wówczas poza jego plecami, gdyż tego wymagał interes, aby innych uprzedzić w zagarnięciu wpływów w czerwonem carstwie. Zarzut, czyniony Francyi, że naruszyła koalicyjną solidarność, jest także i z tego powodu niesłuszny, że, jak paryskie afery dyplomatyczne wykazują, przed kilku jeszcze miesiącami przedłożono zupełnie lojalnie w Londynie projekt umowy francusko-tureckiej, na co nie otrzymano jednak żadnej odpowiedzi. Jest to łatwo zrozumiałe. Wówczas Lloyd George przygotowywał grecką krucyatę przeciw Turcyi, pewny, że nie zostanie z państwa otomańskiego ani strzępa, gdyż podzielą się nim sąsiedzi. Zawiódł się szpetnie, nieposłuszni Turcy, zamiast dać się pobić, jak tego wymagał interes angielski, strzepali skórę Grekom. Plany angielskie siedz musiały zatem zmianie, przypomniano też sobie o układzie francusko-tureckim i powód do gniewu gotowy.

Ta zmiana kierunku polityki angielskiej wobec Francyi jest wodą na młyn niemiecki. W Berlinie zacierają ręce z radości, a nadzieja odwetu rośnie z każdym dniem, Francya, widząc się zupełnie odosobnioną, musi na seryo myśleć o swem bezpieczeństwie i dlatego ani jej w głowie zajmować się rozbrojeniem i to w chwili, gdy wszyscy sąsiedzi zbroją się przeciw niej. Jeden to dowód więcej, jak potrzebną była konferencya w Waszyngtonie i jakie są skutki powziętych tam uchwał. Lidze Narodów, choć niedawno ujrzała światło dzienne, grozi już likwidacya. Ameryka występuje z planem nowego trybunału światowego, mającego być pewnego rodzaju sądem handlowym, przeznaczonym do załatwiania sporów międzynarodowych bez potrzeby uciekania się do pomocy oręża. Czy jednak amerykański projekt znajdzie zastosowanie, to kwestya przyszłości. W zasadzie godzą się nań wszyscy, podobnie jak na projekt rozbrojenia, do którego w praktyce nikt się przecież stosować nie myśli.

I to się nazywa polityka!...

Nie mogąc narazie nic o tem jeszcze powiedzieć, jak św. Mikołaj obejdzie się z kronikarzem, czy mu co „podłoży“, czy też o nim zapomni, zaznaczyć należy, że św. Barbarę mieliśmy „po lodzie“, co jest niezawodną przepowiednią, iż Boże Narodzenie będzie mroźne, pogodne i suche, albo mokre i błotniste, gdyż *tertium non datur*. Natomiast obrzędy, połączone z wigilią św. Andrzeja, utrzymują się, a ostatnim, który ich doświadczył na sobie, był poseł Zamorski.



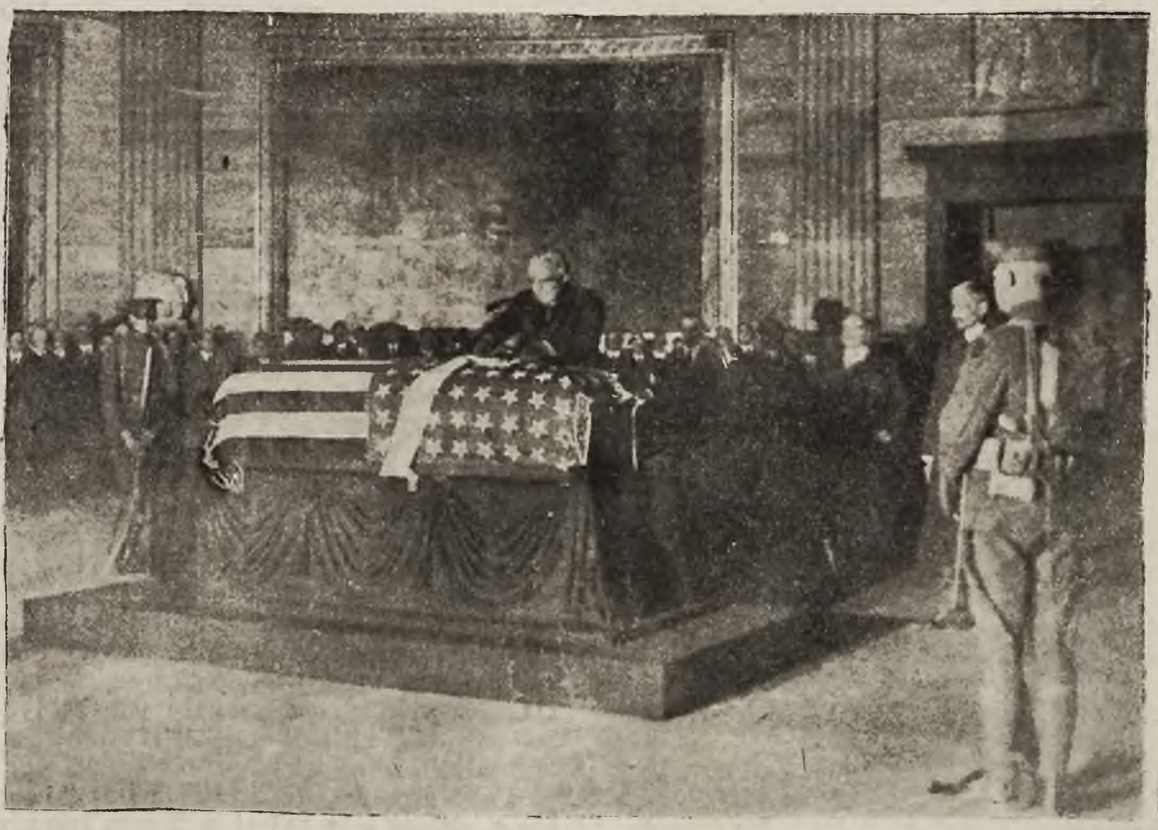
wyboru między Polską a Rosyą sowiecką, czyni niewątpliwie rozsądniej, skłaniając się ku Polsce, której polityka dotyczasowa wobec nowopowstałych państw na terenie byłego rosyjskiego cesarstwa była zawsze nacechowaną jak najdalej dla nich posuniętą życzliwością.

Stosunki polsko-łotewskie były dotąd na ogół dość znośne, choć dyplomacya sowiecka dokładała i dokłada ciągle starań, aby poważnić ze sobą sąsiadów, a tem samem ułatwić dla siebie hegemonię na północnym wschodzie Europy, uważanym przez nią za właściwy teren swych wpływów i działalności. Polityczny rozum łotewskich mężów stanu powinien im jednak wskazać, że nie tędy prowadzi droga do zapewnienia swojej ojczyźnie normalnego rozwoju, a przedewszystkiem wolności. „Raj bolszewicki" przedstawia się zupełnie inaczej w praktyce, niż w teoryi, a smutnemi jego illustracyami są obecne wewnętrzne stosunki rosyjskie. Związek nowoutworzonych państw nadbałtyckich w ścisłej łączności z Polską, mógłby się stać politycznym czynnikiem decydującym na Wschodzie i w tym kierunku powinno się z naszej strony dołożyć wszelkich starań.

Pożegnanie prezydenta Drzewieckiego.

Dla wiadomości osób, nie znających stosunków, panujących w byłej Kongresówce, nadmienić musimy na wstępie, że tamtejszy ustrój samorządowy różni się tem od naszego, iż składa się z dwu zupełnie odrębnych ciał, to jest Rady miejskiej z prezesem na czele i Magistratu z prezydentem miasta. Pierwsza jest oficyalną reprezentantką gminy i kierowniczką jej interesów, drugi, właściwym urzędem, wykonującym jej uchwały i prowadzącym gospodarkę miejską.

Na stanowisku prezydenta m. Warszawy, zatem kierownika Magistratu pozostawał od sześciu lat inż. Piotr Drzewiecki, spełniając gorliwie swe obowiązki w tak ciężkich jak obecne przełomowe, czasach. Tarcia polityczne w łonie warszawskiej Rady miejskiej, o których wspominaliśmy w poprzednim numerze, nie mogły oczywiście pozostać bez wpływu na ogólny tok gminnej gospodarki, a gdy doprowadziły do momentu krytycznego, trzeba było wyszukać kozła ofiarnego, który przyjąłby na siebie winy, przez innych popełnione. Stał się nim prezydent m. Warszawy, inż. Piotr Drzewiecki i to z woli swego własnego stronnictwa politycznego, które wysunęło go swojego czasu na ten ważny i odpowiedzialny posterunek, a obecnie zmusiło do rezygnacyi, na trzy miesiące przed wygaśnięciem jego mandatu, by w ten sposób ratować samych siebie, to jest uchronić Radę miasta przed jej rozwiązaniem, a całą winę nieporządków zwalić w ten sposób w oczach świata na Magistrat.



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce: Prezydent Harding w głównej hali Białego Domu składa na trumnie amerykański krzyż wojenny.

Zniechęcony tem wniósł inż. Drzewiecki swą rezygnacyę, przyjętą skwapliwie przez pełną Radę, w której większość tworzą przyjaciele polityczni byłego prezydenta.

Zupełnie inaczej zachował się wobec ustąpienia swego kierownika Magistrat warszawski, który wiadomość o jego rezygnacyi przyjął z żalem, dając temu wyraz w uroczystem pożegnaniu, jakie urządził swemu kierownikowi. Wzięli w niem udział tylko przedstawiciele Magistratu, członków Rady miejskiej nie zaproszono, aby w ten sposób dać wyraz współczucia dla byłego prezydenta, któremu wyrządzono ciężką moralną krzywdę. W sali portretowej Magistratu zebrali się wyżsi urzędnicy wraz z ławnikami, by ustępującemu ze stanowiska prezydenta stolicy p. Piotrowi Drzewieckiemu złożyć adres uznania za pracę i słowa podzięki.

O godzinie wpół do ósmej przybył prezydent Pierwszy imieniem Magistratu głos zabrał wice



Pożegnanie prezydenta Drzewieckiego: Ustępujący prezydent inż. Drzewiecki przemawia do żegnających go członków Magistratu.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

prezydent Artur Śliwiński, wręczając imieniem kolegów adres z podpisami ozdobnym, archaicznym tekstem i herbem miasta. Po nim przemawiali jeszcze: wiceprezydent W. Jabłoński, ławnik Kobyłecki, Toeplitz, Koralewski i inż. Kühn. We wszystkich przemówieniach brzmiał szczery żal za ustępującym



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce: Tłumy zdążające celem odwiedzenia zwłok, wystawionych w Białym Domu w Waszyngtonie.

zwierzchnikiem, a słowa uznania nie brzmiały jak czcze, okolicznościowe frazesy, lecz jako szczere wyrazy hołdu.

P. prezydent Drzewiecki ze wzruszeniem przyjął tę miłą owacyę, dziękując za nią w krótkich, szczerych słowach, stwierdzając, że „był żeglarzem, który nie dopłynął do portu, lecz wysiadł w drodze", gdyż celów zamierzonych nie danem mu było wypełnić.

Ustąpienie prezydenta wywołane zostało specyalnie niefortunnym zbiegiem wypadków, to też nic dziwnego, że tak szczery żal za nim wypełnił wszystkie serca. Po przemówieniach na herbatce w ściślejszem gronie żegnali prezydenta wiceprezydenci i ławnicy, którzy ofiarowali mu piękny dar w postaci tryptyku przedstawiającego motywy staromiejskie.

Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce.

Dzień pogrzebu zwłok „nieznanego żołnierza" armii Stanów Zjednoczonych zamienił się w imponującą żałobną manifestacyę narodową, którą ludność oddała cześć swej bohaterskiej armii. Już sama data pogrzebu, wyznaczonego na dzień 11. listopada, to jest w rocznicę zawieszenia broni, miała swe historyczne znaczenie.

Jak już w jednym z poprzednich numerów naszego pisma donieśliśmy, zwłoki „nieznanego żołnierza" ekshumowano na jednym z cmentarzy wojennych francuskich, poczem, złożono je w srebrnej trumnie, przywiezionej w tym celu z Ameryki, wystawiono na widok publiczny w Chalons nad Marną. Stąd przewieziono je do Paryża, a następnie do Havru, gdzie zabrał je na swój pokład krążownik amerykański „Olympia". Na pokładzie statku urządzono rodzaj kaplicy żałobnej, ozdobionej sztandarami amerykańskimi i francuskimi.

Po przybyciu do ojczyzny przetransportowano trumnę ze szczątkami bohatera do Waszyngtonu, gdzie w dniu 11. listopada odbył się wspaniały pogrzeb, w którym uczestniczyły dziesiątki tysięcy ludności, tak miejscowej, jak i przybyłej umyślnie w tym celu z najdalszych okolic kraju.

Przez dwa dni, poprzedzające obchód pogrzebowy, złożone były zwłoki w Białym Domu na honorowym, historycznym katafalku, na którym spoczywały niegdyś śmiertelne szczątki Lincolna, Granta, Mac Kinleya i Deweya, następnie złożono je na wieczny spoczynek na cmentarzu Arlington, oddalonym od Waszyngtonu o siedm kilometrów, a będącym rodzajem amerykańskiego narodowego Panteonu. Przez te dwa dni odwiedziły zwłoki tysiące mieszkańców, składając u stóp katafalku stosy wieńców i kwiecia.

Cmentarz Arlington jest miejscem wiecznego spoczynku wielu już bohaterów narodowych amerykańskich, pochowano na nim wiele ofiar ostatniej wojny, między niemi 2111 ciał poległych żołnierzy, których nazwisk stwierdzić nie zdołano. Jak wspólnie walczyli za honor amerykańskiego oręża, tak też spoczęli razem w jednym wspólnym grobowcu granitowym. Główne wyjście na ów cmentarz narodowy przypomina strukturą starożytną świątynię grecką, ozdobioną wspaniałym portykiem, przez który wchodzi się do wnętrza, zbudowanego amfiteatralnie.

W dniu 11 listopada tysiączne rzesze zaległy drogę



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce: U wejścia do Białego Domu.

od Białego Domu w Waszyngtonie do Arlington House. Orszak pogrzebowy otwierały oddziały piechoty, kawaleryi i artyleryi poprzedzając trumnę, okrytą gwiaździstym sztandarem amerykańskim. Za trumną postępował prezydent Stanów Zjednoczonych Harding w otoczeniu ministrów i najwyższych urzędników, jenerał Pershing, członkowie ciała dyplomatycznego oraz uczestnicy odbywającej się właśnie w Waszyngtonie międzynarodowej konferencyi, setki



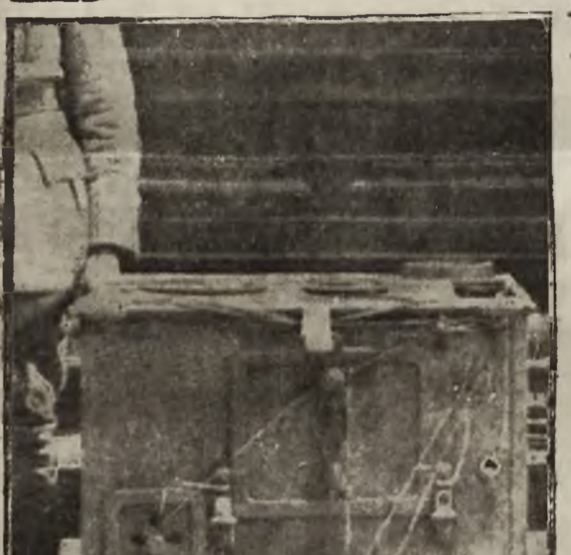
Pogrzeb „nieznanego żołnierza" w Ameryce: Orszak pogrzebowy na cmentarzu w Arlington.

delegacyi i tłumy obliczane z górą na pięćdziesiąt tysięcy. Były prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson, ze względu na słabe swe zdrowie wziął udział w pogrzebie w powozie. Po właściwej ceremonii pogrzebowej, odbywającej się przy odgłosie bicia w dzwony, gdy kapelan wojskowy odmówił ostatnie modlitwy, nastała dwuminutowa bezwzględna cisza. Było to nieme, a jednak potężne swem wrażeniem oddanie ostatniego hołdu pamięci bohatera, a w jego osobie i tysiącom innych. Z kolei zabrał głos prezydent Harding, który w uroczystej przemowie oddał cześć zasługom amerykańskiego żołnierza, marszałek Foch złożył na trumnie medal i krzyż wojenny, prezydent Briand zaś imieniem Francyi wspaniały wieniec z róż i liści wawrzynowych, dając w ten sposób wyraz wdzięczności narodu francuskiego Amerykanom, których interwencya rozstrzygnęła wojnę światową. Towarzysze broni złożyli następnie trumnę „nieznanego żołnierza“ na wieczny spoczynek w umyślnie na ten cel zbudowanym grobowcu pamiątkowym z białego marmuru, koło którego na zakończenie przedefilowali w uroczystym pochodzie wszyscy uczestnicy tej wspaniałej narodowej manifestacyi żałobnej.

Po procesie „Sinobrodego“.

Dwa tygodnie trwający proces mordercy kobiet, Landru, dobiegł do końca, a wynikiem jego było skazanie na śmierć nowoczesnego „Sinobrodego“. Na 48 pytań zaprzeczyli sędziowie przysięgli tylko dwa.

Landru pozostał do końca wierny raz obranej taktyce, twierdził on, że jest niewinny, na poparcie zarzutów żądał dowodów, a tych śledztwo dostarczyło niewiele. Odpowiedziami swemi, nie pozbawionemi bardzo gryzącej ironii, wprawiał niejednokrotnie w kłopot trybunał, a przedewszystkiem prokuratora.



Po procesie „Sinobrodego“: Piecyk w wili Landru w Gambais, w którym jak przypuszczają, palił morderca zwłoki swych nieszczęśliwych ofiar.

Pewnego rodzaju samoobroną jego było oświadczenie, jakie Landru napisał dla lekarzy, mających zbadać stan jego zdrowia.

„Oskarżają mnie — pisze Landru — że jestem fenomenalnym przestępcą. Jestem oskarżony, że zamordowałem pewną liczbę — jaką już sam nie wiem — osób. Między innemi zarzucono mi, iż zgładziłem ze świata panią Conchet. Chcę się na tym wypadku zatrzymać. Pani Conchet jest osobą, która na 6 miesięcy przed zawarciem ze mną znajomości, poczyniła przygotowania do opuszczenia Francyi. Wypowiedziała ona swoje mieszkanie, a następnie na pewien czas udała się wraz ze mną do Vernonille. Następnie wyjechała stamtąd, tak samo jak wyjechała ze swego poprzedniego mieszkania. Nie zaginęła ona, lecz tylko zmieniła miejsce swego pobytu. No i teraz chcą, abym im powiedział, gdzie się pani Conchet znajduje.

„Mówią — pisze dalej Landru — że miałem cały szereg schadzek. Wolne żarty. Spojrzyjcie panowie na moją łysą głowę. Wszak jestem niedość na to piękny. Cała ta historya jest tak szaloną, że sobie wyobrazić tego nie można. Ponieważ policya nie może znaleźć osób, których imiona znajduję się w moim notatniku, to znaczy, że ja te wszystkie osoby zgładziłem. Ale w moim notatniku znajduje się piętnaście, trzydzieści, pięćdzies'ąt imion i osoby w notatniku wymienione bardzo łatwo znaleźć. Ale te osoby, które znaleźć można, dla policyi nie istnieją. Te osoby, których niema, poprostu wyjechały, nie zostawiając swego adresu. Ja miałem zamordować 12 osób, a w tem 11 kobiet. Końby się uśmiał. Mam obecnie 50 lat poza sobą i nigdy nie groziłem żadnej kobiecie, ani też nie biłem. Nigdy w życiu nie byłem gwałtowny. I dlaczegóżbym miał te kobiety mordować? Ażeby je okraść? Przecież one nic nie posiadały. Czy policya wie zresztą dokładnie, że one istotnie zaginęły? Być może, iż panie te nie mają tylko chęci stanąć tutaj przed sądem“.



Pogrzeb „nieznanego żołnierza“ w Ameryce: Przemowa prezydenta Hardinga przed złożeniem zwłok w honorowym grobowcu na cmentarzu w Arlingtonie.

Najwięcej dramatycznych momentów dostarczyły ostatnie dni rozprawy, przeznaczone na wywody rzeczoznawców i adwokatów zastępujących rodziny pomordowanych. Jeden z lekarzy stwierdził, że wykopane w ogrodzie jednej z will, w której Landru zajmował mieszkanie, resztki kości są bezwarunkowo ludzkiego pochodzenia i należą do trzech osobników, prawdopodobnie rodzaju żeńskiego.

Wiele obciążających szczegółów dowiedziano się z notatnika, jaki morderca prowadził skrupulatnie od szeregu lat. Zapisywał w nim wszystko, dochody i rozchody, naprzykład dochód ze sprzedaży ruchomości swych chwilowych narzeczonych, wydatek na kupno piły, służącej mu, jak przypuszczają, do ćwiartowania zwłok swych ofiar, które następnie palił. Piec, jakiego używał w tym celu, ustawiony na sali rozpraw, był przedmiotem ogólnego zainteresowania. Najcięższe oskarżenia zbywał Landru milczeniem, wyrok śmierci przyjął ze zupełnym spokojem, jak wytrawny kryminalista, który już po raz szósty z rzędu znalazł się przed kratkami sądowemi, skąd udawało mu się zawsze wyjść cało.



Po procesie „Sinobrodego“: Landru przegląda podczas rozprawy swoje notatki.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. N., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko zmarłej niedawno w Krakowie działaczki społecznej.

```
      ■
    – ■ –
      ■
    – ■ –
    – ■ –
    – ■ –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
  – – ■ – –
– – – ■ – – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka na Śląsku, 3. Samogłoska, 4. Pokłady geologiczne, 5. Owad, 6. Ryba, 7. Polska twierdza nad Dnieprem, 8. Polski pamiętnikarz, 9. Węgierski powieściopisarz, 10. Przedmieście w Krakowie.

Okienko.

Ułożył K. Solecki, Lwów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

```
a a g i i
ł   ł   m
m n o o o
o   p   p
r s s u u
```

Znaczenie wyrazów: 1. Jezioro w Wielkopolsce, 2. Uroczystość żydowska, 3. Imię tureckie.

Zadanie do uzupełnienia. [1])

Ułożył Z. Benedyktowicz, Gdańsk.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, podadzą nazwę miejscowości słynnej z rozwoju naszego przemysłu naftowego.

— aku
— ran
— yba
— ard
— awa
— awa
— pis
— oda

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. Mikołajski, Poznań.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a e e
g i i m
n o o p
r r r r
```

Znaczenie wyrazów: 1. Przedmieście Konstantynopola. 2. Egzotyczny władca, 3. Znany przed laty z swych występów muzykalnych i miłosnych prymas orkiestry cygańskiej, 3. Postać biblijna.

Zadanie do uzupełnienia. [2])

Ułożył A. B., Wilno.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jednego z polskich dowódców.

— aba
— zop
— ena
— gor
— ama
— mar
— oda
— oła
— ama
— ran

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego: „Pod Czewonym Wirchem“ (powieść); A. Borawskiego: „Przewodnik po Katedrze Wawelskiej“.

Rozwiązanie zagadek z Nru 45

Logogryf: D, syn, Roman, glina, Pasek, bryła, brama, Kowno, Mnich, Litwa, brona, osa, a.

Zgłoskówka. Wasyl Wyszywany.

Zadanie do uzupełnienia: Gil, rąb, Abo, bas, oko, wąs, sak, kęs, Iwo.

Zgłoskówka. Sanacya finansów.

Kwadrat magiczny: Cisa, imam, Safo, Amos.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: A. Pitzele Kraków, W. Zubicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, M. Stachowicz Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło. M. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S. Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów. W. Komperdowa Lwów, H. Blonder Podgórze, J. Skowroński Tłumacz, W. Śmiszkiewicz Milówka.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Kubicówna Kraków (książka ks. Żukiewicza). 2) J. Orzechowski, Warszawa (powieść Gruszeckiego). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.